NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 2 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.
W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts — Rocznie 4 dol. 50 cts.
Zmiana adresu kosztuje 40 hal.
Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.
Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Główny skład na Księstwo Poznańskie: M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok XIII. Kraków, 22 stycznia 1916. Nr. 4.

Pogrom Czarnogóry.

(Treść na str. 6).



Dolina Cetynii z widokiem na zdobytą stolicę Czarnogóry.

Boże Narodzenie 1915 roku.

Już drugie święta Bożego Narodzenia minęły pod znakiem wojny... Nie było rodziny, w którejby przy wieczerzy wigilijnej nie brakło kogoś z najbliższych. W tej uroczystej chwili wszyscy byli razem — się choinki, rozlegały się kolędy, zabłysł nieraz promyk niefrasobliwej wesołości, ale myśl biegła do rodzinnych chat, do swoich.

Mnóstwo listów ze wszystkich frontów niosło nam życzenia z pola walki, a ten wyraz pamięci był może największą pociechą podczas tych smutnych świąt.





Szopka w kadrze I. brygady Legionów polskich. **Boże Narodzenie 1915 roku:** „Krakowskie dzieci" przy wieczerzy wigilijnej.

tam, gdzie historya pisze dziś swe karty — w rowach strzeleckich... Gdy jedni już długie miesiące walczą w trudzie i znoju, inni, co pozostali w domu, biegli do nich przynajmniej myślą, aby podzielić się z nimi opłatkiem, złożyć im w dani serdeczną nić życzeń i tęsknoty.

Smutna Wigilia 1915 roku! Tylu brakło wśród nas — najbliższych, których ciężka powinność i ciężki obowiązek przykuł do ciemnych rowów strzeleckich, do smutnych sal szpitalnych. A i oni nie zapomnieli o nas... Wśród huku armat, w obliczu nieprzyjaciela — święcili radosny dzień wigilijny w gronie towarzyszów broni, którzy musieli im zastąpić wszystko to, co pozostawili w domu. I tam paliły

W poprzednich numerach zamieściliśmy już szereg nadesłanych nam z frontu pocztówek, illustrujących obchody świąteczne bądź na polu walki, bądź po szpitalach. W dzisiejszym numerze podajemy dalsze fotografie, jakie obecnie otrzymaliśmy, a przy tej okazyi, jako echo świąt, zamieszczamy jeszcze „gwiazdkę" w szpitalu wojskowym, mieszczącym się w gmachu Starego Teatru w Krakowie.

Ofiara poświęcenia.

W czasie wojny niosą śmierć nie tylko kule i pociski nieprzyjacielskie. Równie groźnym wrogiem są zarazy epidemiczne, które idą w ślad za wojną. — Jest to wróg o tyle niebezpieczniejszy, że niewidzialny i wciskający się wszędzie, pomimo największych ostrożności. Walka z nim jest też niezmiernie trudna i wymagająca wielu ofiar. Już w czasie obecnej wojny można wyliczyć cały szereg lekarzy i pielęgniarek, którzy w walce z tym groźnym wrogiem zarazy położyli swe życie w ofierze. Padli, jak żołnierze na niebezpiecznej placówce — sami niosąc tylko ulgę cierpiącym.

Jedną z tych ofiar walki z groźnym wrogiem tyfusu plamistego jest ś. p. Stanisława Klimontowa z Krakowa. Po wybuchu wojny, zabrała się natychmiast z całą energią do pracy na polu pielęgniarstwa i przez czas dłuższy była zajęta na stacyi opatrunkowej dworca krakowskiego, gdzie niezwykłą troskliwością i gorliwem wypełnianiem obowiązków zyskała ogólne uznanie.

Gdy z inicyatywy i staraniem księcia biskupa krakowskiego utworzono ruchome kolumny sanitarne

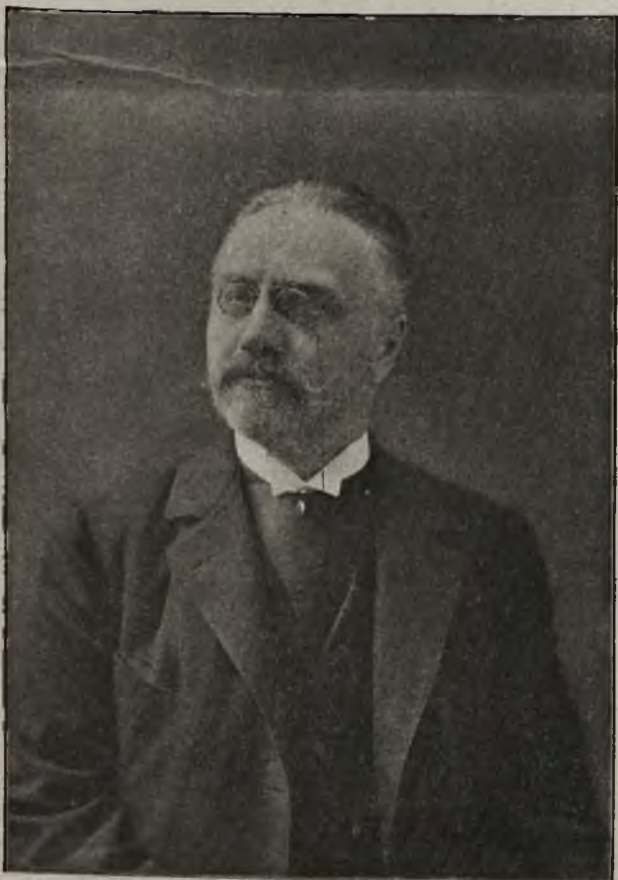


Pokłosie wojenne w Galicyi: Wnętrze kościoła w Sękowej (pod Gorlicami) po zbombardowaniu. (Fot. T. Chmura).

do walki z epidemicznemi chorobami, szerzącemi się wśród wyniszczonej wojną ludności galicyjskiej, ś. p. Klimontowa pospieszyła na ten zaszczytny, choć tak niebezpieczny posterunek. Tam też, pełniąc z całem poświęceniem ciężkie obowiązki, padła ofiarą zarazy. Przyjechawszy do Krakowa na kilkodniowy wypoczynek, poczuła się niezdrową. Niestety, okazało się, że był to tyfus plamisty, który położył kres jej życiu.

Zgon wybitnego prawnika.

W Zakopanem zmarł, w niespełna tydzień po pogrzebie swej małżonki, ś. p. Aleksander Mniszek-



Zgon wybitnego prawnika: S. p. Aleksander Mniszek-Tchorznicki.

Tchorznicki, a wieść ta, tem tragiczniejsza skutkiem obu tych smutnych faktów, wywołała szczery żal wśród wszystkich, którzy mieli możność patrzeć i oceniać jego działalność w murach Lwowa.

Najwyższy dygnitarz wschodnio galicyjskiego sądownictwa odgrywał w życiu społecznem, artystycznem i towarzyskiem stolicy kraju wybitną rolę. Nie cofał się nigdy przed współdziałaniem w pracach, dobro publiczne mających na celu, a jako doskonały muzyk, ukochał specyalnie światek artystyczny, w jego zamierzeniach i planach zawsze czynny przyjmując udział. Muzycy lwowscy kochali też i cenili ś. p. Tchorznickiego równie wysoko, jak prawnicy za jego głęboką i wszechstronną wiedzę fachową, a społeczeństwo polskie za zasługi, położone około rozgłośnej przed laty sprawy Morskiego Oka.



Pokłosie wojenne w Galicyi: Rynek w Gorlicach. (Fot. T. Chmura).

Potomek starej szlacheckiej rodziny ziemiańskiej, ś. p. Tchorznicki, po ukończeniu studyów uniwersyteckich, rozpoczął świetną karyerę urzędniczą we Lwowie, by rychło znaleźć się w biurach ministeryalnych w Wiedniu, gdzie niebawem poznano jego fachową wiedzę i gruntowną znajomość prawa.



Pokłosie wojenne w Galicyi: Taras pałacu b. ministra Długosza z widokiem na górę Postronie, gdzie były główne pozycye rosyjskie. (Fot. T. Chmura).

Objąwszy równie zaszczytne, jak odpowiedzialne stanowisko prezydenta sądu krajowego wyższego we





Boże Narodzenie 1915 roku: Gwiazdka w szpitalu wojskowym w Starym Teatrze w Krakowie. — Wigilia „Krakowskich dzieci“ w szpitalu polowym na froncie wschodnim



Boże Narodzenie 1915 roku: Szopka „dzieci krakowskich“ 13 p p. w polu.



W niewoli rosyjskiej: Pocztówka, nadesłana do redakcyi „Nowości Illustr.“ od jeńców z Perowska

Lwowie, wprowadza w latach 1896—1898 nowe ustawy procesowe i reorganizacyę sądownictwa.

Zawsze nadzwyczaj gorliwie oddany obowiązkom swego zawodu, przyświecający chlubnym przykładem podwładnemu personalowi, złożył w tej właśnie epoce dowody niebywałej, niestrudzonej pracy z uszczerbkiem własnego zdrowia, przesiadując w swem biurze od wczesnego rana do późnej nocy przez długi szereg miesięcy. I jeżeli sądownictwo wschodnio-galicyjskie stanęło na tej wyżynie, na jakiej je widzimy, jeżeli ten cały skomplikowany aparat, na zupełnie nowych zasadach oparty, począł funkcyonować sprawnie i z pożytkiem dla kraju, zawdzięczać to należy w znacznej mierze działalności ś. p. Tchorznickiego, jako wodza tej armii sędziów i urzędników, którzy ze swojej strony okazali tyle poświęcenia i poczucia obywatelskich obowiązków.

Po ustąpieniu w roku 1911 z posterunku prezydenta sądu, oddał się z tem większą energią pracom obywatelskim. Niestety, anormalne czasy, jakie przeżywamy, podkopały jego zdrowie i wtrąciły go do grobu.



Pokłosie wojenne w Galicyi: Uszkodzony pociskami budynek Kółka rolniczego w Siarach.
(Fot. T. Chmura).

W niewoli rosyjskiej.

Jedną z wielu niespodzianek, jakie zgotowała obecna wojna, jest także wielka liczba jeńców. Przy obecnem udoskonaleniu broni jest to zresztą rzecz najzupełniej zrozumiała. Gdy odosobniony oddział znajdzie się w ogniu nieprzyjacielskim, nie pozostaje mu nic innego, jak poddać się, lub zginąć. To też obecna wojna wymaga nie tylko dzielnej walki, ale niezwykłej znajomości terenu i strategicznej sztuki w ugrupowaniu wojsk. Pod tym właśnie względem szczególną nieudolność okazała właśnie armia rosyjska, która też dostarczyła największą liczbę jeńców, sięgającą w Austryi i w Niemczech do dwóch milionów.

Wobec tej olbrzymiej cyfry wziętych do niewoli żołnierzy i oficerów rosyjskich, stanowią zaledwie znikomą garstkę jeńcy austryaccy. Dostali się oni do niewoli przeważnie jako ranni, a po wyleczeniu wywiezieni zostali w głąb Rosyi. Pewna grupa jeńców austryackich została umieszczona aż w Perowsku w Turkiestanie (środkowa Azya), skąd właśnie otrzymaliśmy obecnie kartkę z grupą oficerów. Zamieszczając w dzisiejszym numerze reprodukcyę obu stron tej pamiątkowej pocztówki, podajemy jej treść, która brzmi jak następuje:

Perowsk, 2/XII. 1915.

Przesyłam Sz. Redakcyi grupę jeńców-oficerów w obozie Perowsk (Turkiestan). Licząc od lewej ku prawej stoją jako 3, 4, 5 i 6, porucznik Romański (Kraków), kadet Myczkowski (Chorostków polski), por. Mazurkiewicz (Miłocin) i por. Berger (Lwów). Dalej jako 8 i 9 kadeci Aleksandrowicz (Borysław) i Kessler (Brzeżany) — pochodzący z Galicyi. W obozie są oficerowie przeważnie z Przemyśla i pojmani w Karpatach. Wyżej wymienieni przesyłają pozdrowienie swym rodzinom i znajomym.

Serdeczne pozdrowienie Wiktor Romański.





Boże Narodzenie 1915 roku: Wigilia na froncie wschodnio-galicyjskim. (X) Prof. Stan. Haraschin z Krakowa.

M. J. MIGOWA.

ŻYJE!...

(Dokończenie).

Pan Ferdykiewicz ironii nie odczuł i wziął słowa Stasi za komplement...

— Ha! trzymam się, bo się człowiek szanuje, żyje solidnie, statecznie, zdrowia nie niszczy na hulankach, tak jak to młodzież dzisiejsza... Dwie bombki piwa wieczorem i o jedenastej godzinie w łóżeczku... Hygienicznie!... To też śmiało powiedzieć mogę, że moja przyszła żoneczka będzie ze mnie zadowolona...

Stasia milczała, skubiąc machinalnie futerko swojego zarękawka... Może przed jej oczyma stanęła gniewna twarz matki lub czoło ojca poorane fałdami ciężkiej, codziennej troski...

Pan Ferdykiewicz, jakby zachęcony milczeniem panienki, ciągnął dalej:

— Śmiało to powiedzieć mogę, że posiadam wszystkie warunki, aby uczynić kobietę szczęśliwą... Nie chwaląc się, panien, któreby za mnie poszły, znalazłbym na tuziny, ale ja upodobałem sobie jedną... Panno Stasiu, pani wie którą...

— Nie...

— Bo pani nie chce wiedzieć, nie chce rozumieć...

Stasia podniosła nagle oczy, spojrzała na świecącą tłuszczem twarz pana Ferdykiewicza i głosem głuchym, bezdźwięcznym rzekła:

— Owszem wiem i rozumiem i jeżeli pan chce, będę pańską żoną...

* * *

W domu państwa Rychlikowskich zapanował radosny nastrój.

Matka na wiadomość o zaręczynach Stasi zalała się łzami rozczulenia i otworzyła szeroko ramiona, aby w nich utulić „marnotrawną córkę".

Lola i Juluś przyjęli nowinę radosnymi krzykami i skokami. Nawet ojciec, który odgadywał, co się w sercu córki dzieje, odetchnął lżej...

— Przynajmniej Stasia będzie miała zabezpieczoną przyszłość, wolną od tych codziennych, drobiazgowych, a jak ukłócie szpilką przykrych trosk, braków, niedoborów... — pomyślał.

Cała rodzina Rychlikowskich była przyszłym zięciem i szwagrem zachwycona...

Okazywał on wielką uprzejmość i hojność... — Lola już dwa razy zepsuła sobie żołądek homarem i sardynkami, a raz zachorowała na zęby z przejedzenia cukierkami...

Juliś, puszczając mimo uszu wszelkie napomnienia i strofowania, palił papierosa za papierosem z tytoniu dostarczonego mu przez przyszłego szwagra.

Stasi ofiarował narzeczony piękny garnitur skunksowy „między przyjaciółmi 500 K wart", jak osądziła pani Rychlikowska i kupił pierścionek zaręczynowy z brylantem, „że buzi dać" również wedle wyrażenia mamy Rychlikowskiej.

Pan Ferdykiewicz nalegał, aby ślub odbył się prędko, jak najprędzej, zaraz po Nowym Roku.

Znaleźli się złośliwi, którzy szeptali, że praktyczny kupiec spieszy się, ponieważ od pierwszego stycznia wymówił miejsce swojemu buchalterowi, którego obowiązki miała objąć w przyszłości Stasia.

— Dwieście koron w kieszeni, co miesiąc, a przytem gospodyni w domu, no i młoda, ładna żona, a że biedna, to i bez grymasów... To lepsze niż posag z fochami! O ten Karol ma głowę! — orzekł jeden z kolegów „piwoszów" Ferdykiewicza.

Zatem w domu Rychlikowskich gorączkowo przygotowywano się do wesela i na gwałt wykańczano wyprawę. Mama oświadczyła mężowi, że Stasia musi mieć wyprawę odpowiednią do świetnej partyi, jaką robi, i że pieniądze na to trzeba wydostać, choćby „z pod ziemi". Biedny ojciec w rzeczywistości pieniądze wydostał, czy jednak z pod ziemi, czy też na dobry procent od jakiegoś dyskretnego dobroczyńcy ludzkości — niewiadomo...

— Nasza Stasia z Nowym Rokiem rozpocznie nowe życie... mówiła z rozczuleniem mama Rychlikowska.

Koło tych wszystkich przygotowań do „nowego życia" krzątała się Stasia cicha, spokojna, zrezygnowana, ani jednem słowem, ani jednem drgnieniem twarzy nie zdradzając przed nikiem tego, co czuła i myślała.

Lola zato śpiewała i skakała z radości na myśl o weselu siostry, na którem wystąpić miała jako pierwsza drużka w różowej, gazowej sukni, darze uprzejmego pana Karola. W szkole opowiadała koleżankom z dumą cuda o uczcie weselnej, mającej się odbyć w jednym z pierwszorzędnych hoteli, „z majonezem, szampanem, lodami".

Jednego tylko nie mogła odżałować.

— Jaka to szkoda, że tańców nie będzie...

— Trudno, moje dziecko — perswadowała pani Rychlikowska — wojna, nie wypada...

— No ja wiem, że wojna, ale coby to właściwie komu szkodziło, żebyśmy trochę potańczyli...

Musiała jednak z tego zrezygnować, punkt tańców odpadał, natomiast uczta z szampanem i majonezem, nowa gazowa suknia, zapowiedziane kwiaty, karety — wszystko to wprawiało Lolę w zachwyt, graniczący z ekstazą...

* * *

Rok stary dobiegał do końca, a wraz z nim miała się skończyć wolność panieńska Stasi...

Im bliższym był dzień ślubu, tem radośniej wyśpiewywała Lola, a tem bledszą i smutniejszą stawała się Stasia...

Zato pani Rychlikowska promieniała radością i coraz wyżej podnosiła głowę, słuchając gratulacyi przyjaciółek, często cierpko kwaśnych i pochwytując zazdrosne spojrzenia mam, które miały także córki na wydaniu.

— Ta jędza Olszykiewiczowa — mówiła z zadowoleniem — już żółtaczki dostała z zazdrości... O! wiem, jak ze swoją piegowatą Ludką zastawiały sieci na pana Karola...

Biedna mama Rychlikowska ani śniła, ani przeczuwała, kołysana różowemi nadziejami, jaką jej zawistny los gotował niespodziankę...

W dzień Nowego Roku, Stasię jako główną teraz osobę w domu, zasypywano życzeniami, skoro tylko rano otworzyła oczy...

Naprzód pochwyciła ją w swoje ramiona rozczulona matka, potem nadbiegła Lola, życząc dużo, dużo szczęścia w tem „nowem życiu", a nawet Juliś, który począł z pewnym szacunkiem spoglądać na przyszłą panią Ferdykiewiczową, wygłosił z odpowiednim patosem następujące życzenie:

„Ile liści na kapuście,
Ile bab jest na odpuście,
Ile panien do zamęścia,
Tyle Stasi życzę szczęścia".

Ogólną harmonię zepsuła tylko Kasia, kucharka i pokojówka w jednej osobie, „sturmak od szczególnych poruczeń", jak się górnolotnie wyrażał Juliś.

Kasia bowiem we wdzięcznej pamięci chowała dawnego narzeczonego Stasi.

— „Wienszuję" panience zdrowia, szczęścia „fortuny", a po śmierci w niebie korony i żeby panienka była szczęśliwą z tym grubym panem... Choć po prawdzie, to pana Jurka szkoda, ale jak go zabili, to cóż robić... Jak się mój Staszek nie wróci, to ja sobie także będę musiała poszukać innego...

Przestań pleść głupstwa i idź do kuchni! — krzyknęła rozgniewana pani domu, która spostrzegła, że powieki Stasi zadrgały...

— O co się pani gniewa?! Prawdę mówię, dobry był pan, jak miał pieniądze to i koronę i dwie człowiekowi w rękę wetknął, a nie miał, to też nie było żal, bo się tak poszciwie, tak ładnie patrzył, że ktoby miał sumienie tego centa od niego wyglądać... No, ja na „Fyrdakiewicza" nic nie mówię, niechże się pani nie gniewa!... Mam i ja rozum i wiem, że jak mus, to mus!

— Kasiu, mówię ci, idź do kuchni!

— A dyć idę, już idę!

— Katarzyno Medycejska, do kuuuchni! — zaśpiewał Juliś.

— Ino niech panicz nie przezywa, żebym przy tym świętym nowym roku nie naklena!

W ślad za Kasią, która w tym wypadku odegrała rolę "enfant terrible", pojawiła się stróżka, a za nią listonosz, kominiarz i inni gratulanci, oczekujący w zamian za swoje życzenia brzęczącej podzięki.

Była to zwykła praktyka noworoczna, ale tym razem wszystkie życzenia bez wyjątku skierowane były ku Stasi, bohaterce dnia, której świetne zamążpójście było tematem rozmów w całej kamienicy...

Dzwonek u drzwi wejściowych odzywał się co chwila...

Piegowata Ludka Olszykiewiczówna również pospieszyła z wyrazem swych uczuć, przyczem nie omieszkała dodać uwagi:

— Kochana Stasia taka blada, mizerna, to pewnie ze wzruszenia... Małżeństwo to zawsze ryzyko... Nie wiem, czy jabym się zdecydowała tak prędko...

W odpowiedzi na to Juliś, czyniąc aluzyę do trzech panien Olszykiewiczówien, Ludki, Niusi i Luśni zaśpiewał:

„Miała mama córek trzy,
Panny siedzą, leją łzy,
Bo choć w domu dobry wikt,
Nie zjawił się dotąd nikt!"

Naturalnie Julisia, za tak niestosowny przyśpiewek wyrzucono za drzwi, a obrażoną Ludkę zdołano jako tako ułagodzić... Skoro jednak tylko piegowata panna Olszykiewiczówna zniknęła za drzwiami, pani Rychlikowska roześmiała się zadowolona i zawołała na syna:

— Juliś, doskonaleś jej zaśpiewał!

— A widzi mama!... Ja jeszcze w kabarecie będę!...

Nareszcie nastała chwila ciszy, Rychlikowskie odetchnęły, a mama zaczęła przynaglać Stasię, aby się prędko ubierała, bo „Karol" zaraz przyjdzie.

Nagle w przedpokoju zadźwięczał znowu dzwonek, euergicznie naciśnięty.

— Któż to znowu?! Może znowu jaki gratulant! — zawołała wystraszona Stasia.

— Może to pan Karol?

— Nie! nie! — zaprzeczyła mama — on nie dzwoni tak silnie! Lolu idź otwórz, zobacz kto taki!

Lola pobiegła, a po chwili ozwał się jej cienki donośny głos:

— To telegram dla Stasi!...

— Co?!

— Telegram dla mnie?! — krzyknęły Stasia z matką równocześnie.

Serce Stasi szarpnęło się w piersi jakiemś nienieokreślonem przeczuciem. Poskoczyła ku siostrze, wyrwała jej z ręki papier, rozwinęła go i drżącym głosem czytała:

„Chorowałem... tyfus... ranny... jeszczem bardzo słaby... list napiszę...
Jerzy".

— Boże, dzięki Ci! — krzyknęła Stasia.

W okrzyku tym zabrzmiał cały bezmiar szczęścia, moc dziękczynna, wydzierająca się z serca, w którem dopełnił się cud zmartwychwstania...

Zapanowała cisza...

Rodzina Rychlikowskich stanęła w osłupieniu, na coś podobnego nikt nie był przygotowany...

— To ci pasztet dopiero! — wykrzyknął Juliś pierwszy po długiej chwili milczenia.

Matka zdołała ochłonąć trochę ze zdumienia i siląc się na spokój, rzekła:

— A to bezczelność poprostu! Telegrafuje sobie, jakby to kogo obchodziło, czy on żyje, czy nie żyje! A niechże sobie żyje, jak długo zechce, ale cóż to obchodzić może naszą Stasię, narzeczoną pana Karola Ferdykiewicza...

Nazwisko przyszłego zięcia wymówiła z naciskiem i dumą.

Stasia ochłonęła z zachwycenia, w jakie pogrążyła ją wieść radosna, wieść niespodziana...

Energicznym ruchem zdjęła z palca pierścionek zaręczynowy i położyła go przed matką:

— Mamo, oddaj mu ten pierścionek, wszystkie jego podarunki... Powiedz mu, że mój narzeczony żyje i ja muszę dotrzymać słowa danego dawniej... Zresztą powiedz mu co chcesz, ale ja za niego nie pójdę...

W głosie Stasi zabrzmiał ton tak stanowczy i silny, że matka ujrzała swoje różowe plany obrócone w niwecz.

Próbowała jednak oponować.

— Oszalałaś?! Zrywać teraz, kiedy pierwsza zapowiedź już wyszła!! Wyprawa gotowa, suknia ślubna w robocie! Co ty sobie myślisz?! Czy ty mnie chcesz do grobu wpędzić?!

— Wyprawa poczeka na mnie, aż Jurek powróci...

— Taka wyprawa dla tego obdartusa, nędzarza, cygana?! Samych koszul batystowych trzy tuziny, prześcieradeł webowych dwa tuziny, powłóczki ze wstawkami! Tyle pieniędzy, jak w błoto wrzucił...

— Ach! mamo, mamusiu, pomyśl tylko, on tam chory, ranny myśli o mnie, wierzy mi, ufa, a ja bym miała... To przecież niby cud jakiś, ta wiadomość, która przyszła dzisiaj w dzień Nowego Roku, jakby wskazując mi drogę do nowego życia, do szczęścia... Mamo, on żyje, czy ty rozumiesz, on żyje!

— Mam się też z czego cieszyć! Boże! taka kompromitacya, taka straszna kompromitacya! To nawet przyszłości Loli może zaszkodzić!

— Tak! ja może przez to za mąż nie pójdę, bo mam siostrę waryatkę — zawodziła Lola.

— A... a... mój pursiczan?! — rozpaczliwie wołał Juliś.

— A moja suknia?!

— Ten malarz, to on sam zawsze szporty pali!..

— A wesele z majonezem?

— A szampan?!

— Ach! ta plotkarka Olszykiewiczówna odżyje!

— Do domu waryatów ją zamknąć!
— Taki los depcze nogami.
— Fiksatka!
— Samolub!

Stasia nie zwracała już żadnej uwagi na wykrzykniki swej oburzonej rodziny, nie słyszała ich nawet może...

W głowie, w jej sercu brzmiało, śpiewało, dzwoniło jedno cudowne słowo:

Żyje! żyje! żyje!

Z duszą rozkwitłą ze szczęścia, jak kwiat na wiosnę tuliła do piersi w błogiem, szczęsnem rozmodleniu zmięty blankiet telegraficzny — zadatek na nowe życie...



Szlakiem bojowym Legionów: Tren I. kompanii saperów w Lubelskiem. (Fot. Dep. Wojsk.)

Pogrom Czarnogóry.

Po Serbii przyszła kolej na Czarnogórę. Wojska austryackie, ścigając pobitego nieprzyjaciela, w dniu 13. bieżącego miesiąca zajęły stolicę Czarnogóry — Cetynię. Było to zresztą już kwestyą tylko krótkiego czasu, odkąd armii austryackiej udało się zdobyć silnie ufortyfikowaną górę Łowczen, które jest kluczem do Cetynii i wogóle całej Czarnogóry.

Łowczen panował nad zatoką Kotoru, która rozciąga się pod nim, widna jak na dłoni. Zatoka ta bajecznie przez fizyczne ukształtowanie swoje nadająca się na podstawę operacyjną dla floty austro-węgierskiej na Adryatyku, nie mogła być skutkiem panowania nad nią Łowczenu wyzyskana należycie dla celów strategicznych, stosownie do jej właściwości. „Times“ wyrażają się nawet, że uzyskawszy panowanie na Łowczenie, mogą Austro-Węgry przemienić zatokę Kotorską w najsilniejszą podstawę operacyjną na całem morzu Sródziemnem. Wszelkie jednak starania dotychchczasowe monarchii, by w posiadanie góry przyjść na pokojowej drodze przez odkupno, spotkały się z odmową, bo sprzedanie Łowczenu przez Czarnogórę byłoby równoczesnem pozbywaniem się myśli o prowadzeniu jakiejkolwiek samodzielnej polityki zagranicznej i zejściem jej do roli wasala Austro-Węgier.



(Fot. Dep. Wojsk.) Pogawędka w okopach.



Szlakiem bojowym Legionów: Strzelec na posterunku w Kielcach, w czasie pierwszej wyprawy Piłsudskiego.



Pokłosie wojenne w Galicyi: Kaplica cmentarna w Gorlicach po zbombardowaniu (Fot. T. Chmura).

Od kiedy więc pożycie sąsiedzkie pomiędzy monarchią habsburską a Czarnogórą coraz bardziej mącić się zaczęło skutkiem obcych, rosyjskich z jednej, włoskich zaś wpływów z drugiej strony, poczęto brać się na seryo do zamienienia góry tej w wybitny punkt wojskowy. Poczęło się to już w czasie przesilenia aneksyjnego. Później, po wojnach bałkańskich, umieścili Czarnogórcy na Łowczenie działa tureckie, zdobyte koło Podgoricy. Wymieniono te działa następnie na cięższą artyleryę, przysłaną z Rosyi, poczem już w ciągu wojny światowej wzmocniono stanowiska działami ciężkiemi. przysłanemi przez Francyę i Włochy. Ufne w siłę tej artyleryi, poczęły wojska czarnogórskie nawet bombardowanie Kotoru w październiku ubiegłego roku. Odpowiedziały im działa z kotorskich fortów, oraz działa okrętowe ogniem tak skutecznym, że trzeba było artyleryę czarnogórską wycofać w nowe osłonione stanowiska poza grzbietem góry, i temsamem ułatwić czynności austryackim armatom.

Wzięcie Łowczenu zaskoczyło koalicyę zupełnie. Pisarze wojskowi, omawiający ten niezwykły w dziejach wojennych wypadek, podnoszą olbrzymi sukces wojsk sprzymierzonych. Grzbiet górski, stromo wystrzelający z samego morza niemal, którego droga sztucznie wykuta, wiodąca z Kotoru ku Cetynii, oraz wszystkie ścieżyny jak najpilniej były strzeżone i znajdowały się pod ustawicznym ogniem artyleryi i piechoty, a który najeżony był fortami i stanowiskami łącznikowemi, tak że każdy niemal odłamek

skalny, każdy najdrobniejszy zakręt za kamieniem był wyzyskany, gdzie trzeba było wspinać się serpentyną, aby się dostać na górę, a więc ustawicznie pozostawało się pod wszechstronnym nieprzyjacielskim ogniem — grzbiet taki zgoła wydawał się od strony Kotoru niemożliwym do zdobycia. Spodziewano się ataku od każdej innej strony raczej, spodziewano się dalszego pochodu od wschodniej granicy, który z powodu warunków pory roku zwolnić musiał znacznie tempa, lecz nigdy nie przypuszczano, że nieprzyjaciel zdecydować się może na działanie, które wydawać się mogło prawie szaleństwem.

Walki o Łowczen trwały dni trzy bez przerwy. Był tam straszliwy ogień moździerzy austryackich 30.5 oraz 42 centymetrowych, wsparty niszczącem działaniem artyleryi ciężkiej z okrętów. Forty nieprzyjacielskie roznoszono wprost w gruzy. Następnie zaś rozpoczęły się szturmy piechoty i zmaganie się się wręcz, oko w oko. Zwolna, z nieopisanym trudem posuwały się coraz wyżej po stromym stoku górskim linie tyralierskie w najstraszliwszą zawieruchę, korzystając właśnie z nieprzejrzystości terenu. W ten sposób po rozpaczliwym oporze ze strony obrońców, klucz panowania nad Cetynią, a zarazem nad całą Czarnogórą zachodnią, znalazł się w posiadaniu armii austryackiej.



Kościół w Sękowej (pod Gorlicami) po zbombardowaniu



Pokłosie wojenne w Galicyi: Fragment z miasta Gorlic. (Fot. T. Chmura).

Fiasko imprezy dardanelskiej.

Ze wszystkich niepowodzeń, jakie poniosła koalicya w obecnej wojnie, najbardziej może kompromitującym jest przebieg i ostateczny, tak niefortunny koniec wyprawy dardanelskiej. Z wielkim hałasem Anglia i Francya na początku roku ubiegłego rozpoczęły wyprawę, celem zdobycia cieśniny Dardanelskie i Konstantynopola. Zdawało się, że tam też, w tym najczulszym punkcie polityki europejskiej, nad Złotym Rogiem, na który tak zazdrośnie spoglądały wszystkie mocarstwa, przeważą się losy wojny. W miarę jednak rozwoju wydarzeń wojennych w Dardanelach okazywała się coraz jaskrawiej fantastyczność wyprawy angielsko francuskiej. Wszelkie wysiłki, aby sforsować cieśninę bądź od strony morza, bądź od strony lądu, przynosiły koalicyi tylko same klęski. Pomimo to sprzymierzeńcy, a zwłaszcza Anglia, do ostatniej prawie chwili łudzili się nadzieją zwycięstwa.

Jeszcze dnia 22. grudnia, omawiając w Izbie gmin sprawę odwrotu wojsk angielskich z zatoki Suwla, zapewniał uroczyście premier Asquith, że wycofanie się z tych stanowisk, które dokonane zostało ze strategicznych względów, nie oznacza bynajmniej podobnej operacyi u przylądka Helles, na południowym cyplu Gallipoli, panującym nad wejściem do dardanelskiej cieśniny. W prasie koalicyi pisano wyraźnie, że stanowisko to utrzymane być musi za wszelką cenę, by tym sposobem uniemożliwić tureckiej flocie swobodę wydostania się z morza Marmara. Co więcej, jeszcze dnia 6. stycznia b. r. podawało Biuro Reutera do wiadomości publicznej telegram, przysłany do Londynu przez generała Hamiltona, który oświadczał wyraźnie, że opróżnienie Gallipoli jest z góry wykluczone. I oto w tej chwili Anglicy wraz z Francuzami tryumfują, że im się udało dokonać odwrotu w zupełnym porządku ze stratą tylko po angielskiej



Pogrom Czarnogóry: Zdobyta przez wojska austryackie góra Łowczen.



Szlakiem bojowym Legionów: Wydawanie obiadu w polu. (Fot. Dep. Wojsk.)

stronie jednego żołnierza oraz 17 dział, które i tak już nie przedstawiały żadnej wartości bojowej. Takiemi więc działami chcieli Anglicy zdobywać panowanie nad Konstantynopolem!

Kto był prawdziwym autorem tego prawdziwie dardanelskiego planu, tego zapewne nie prędko można się będzie dowiedzieć. W starożytności, wedle legendy, aż siedmset miast greckich spierało się o to, które z nich miało zaszczyt wydać Homera. Teraz nie należy się obawiać, żeby zbyt wielu ludzi przyznawało się do autorstwa tego mało zaszczytnego planu. Dotąd istnieją dwie rewelacye z dwu stron, obwiniających się wzajemnie. Autorem jednej jest angielski minister Churchill, autorem drugiej zaś francuski minister Briand. Wedle pierwszej re-

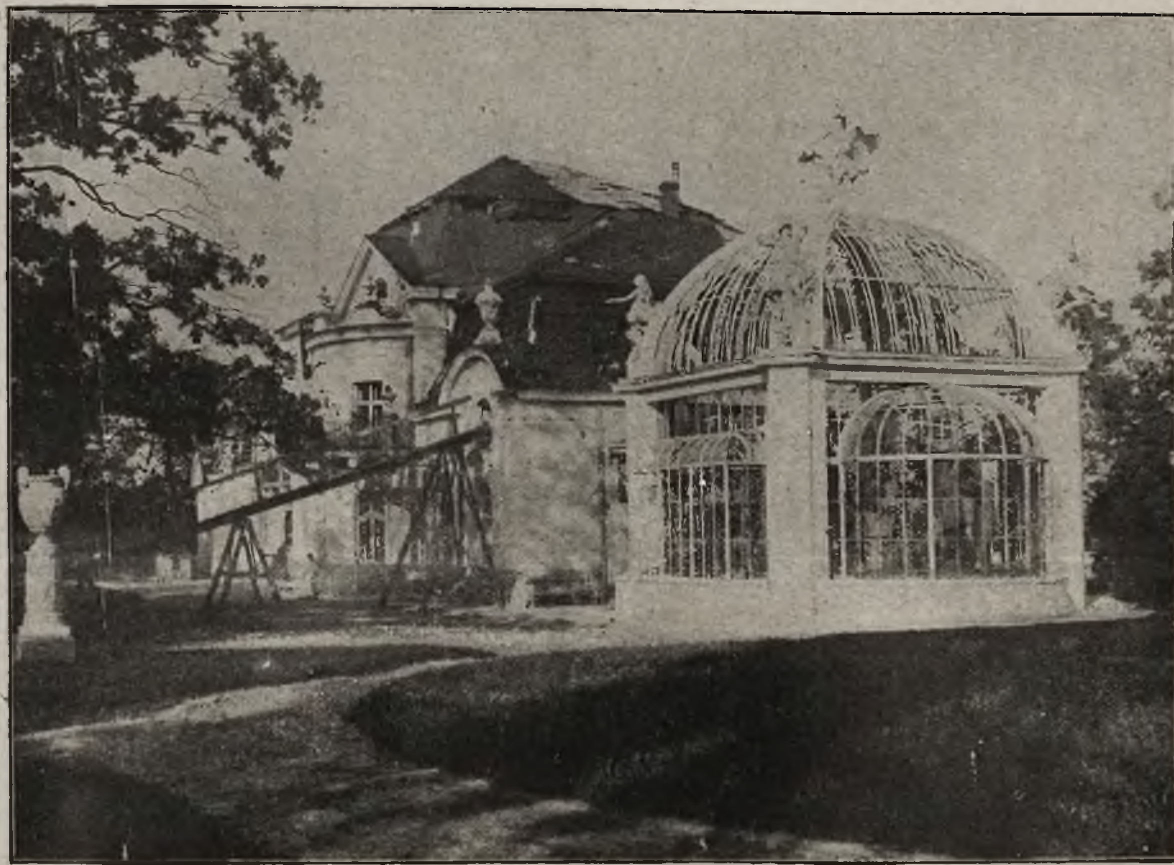


Pokłosie wojenne w Galicyi: Rów strzelecki w parku byłego ministra Długosza pod Gorlicami (Fot. T. Chmura).

welacyi Churchill był właśnie autorem projektu sforsowania cieśniny dardanelskiej, ale tylko w drodze morskiej, przy pomocy floty wojennej francuskiej, z ewentualnem współdziałaniem po stronie przeciwnej morza Marmara rosyjskiej czarnomorskiej floty. W myśl tego planu podjęto atak zjednoczonej floty wojennej dnia 19. lutego 1915 roku. Atak, jak powszechnie niezawodnie tkwi jeszcze w pamięci, skończył się skutkiem działania artyleryi wybrzeżnej tureckiej dla napastników jak najgorzej. Trzeba było na razie wycofać się dla wylizania się ze strat nader ciężkich. Fatalnym błędem kierownictwa wojsk sprzymierzonych, zdaniem Churchilla, było jednak, że po okazaniu się niemożliwości sforsowania Dardaneli za jednym niespodzianym atakiem w drodze morskiej, nie wycofano się od razu z całej imprezy, lecz z dziwnym uporem chwycono się tego projektu, przekształcając go na walkę pozycyjną lądową, która, wedle Churchilla, z powodu warunków terenu, najmniejszych nie mogła mieć widoków powodzenia. Winę tego uporu ponoszą, jak zapewniają angielskie koła wojskowe, w zupełności Francuzi. Druga rewelacya Brianda przyznaje się wyraźnie, że on właśnie był autorem planu zdobycia dardanelskich fortów od tyłu, drogą lądową.



Ofiara poświęcenia: S. p. S Klimontowa, pielęgniarka Kolumny sanitarnej, zmarła na tyfus plamisty.



Pokłosie wojenne: Pałac byłego ministra Długosza w Siarach pod Gorlicami, uszkodzony pociskami.

Eksperyment dardanelski drogo kosztował Francuzów i Anglików. Wedle „Frankfuter Zeitung" znawcy obliczają koszta tej wyprawy na pięć miliardów marek, nie wliczając w to wcale strat w okrętach wojennych i handlowych. Tyle więc było w gotówce. Daleko cięższe były jednak straty, poniesione w materyale ludzkim, w krwi, bezowocnie zupełnie przelanej. Dnia 11. grudnia ubiegłego roku, podał mr. Tennant w odpowiedzi na interpelacyę w Izbie gmin listę oficyalną strat w Dardanelach, poniesionych przez samych tylko Anglików. Do tego dnia poległo 1 609 oficerów i 23 670 ludzi, rannych było 2.969 oficerów i 72.222 ludzi, do niewoli zaś wziętych 337 oficerów i 12 114 ludzi. Doliczyć też należy 96 683 chorych z powodu warunków klimatycznych, których odstawić musiano do lazaretów. Razem wyniosły więc straty wszystkie przeszło 200.000 ludzi. Zważyć też należy, że obliczanie to sięga tylko do początków grudnia, że więc do końca wyprawy jeszcze odpowiednie cyfry doliczyć potrzeba. Co do strat zaś po stronie francuskiej, to te pozostają i długo zapewne jeszcze pozostawać będą najściślejszą tajemnicą wojskową. Zarząd armii francuskiej dotąd nie ogłasza wogóle list strat. Można je sobie wyobrazić jednak na podstawie cyfr angielskich.



Fiasko imprezy dardanelskiej: Wybrzeże półwyspu Galipoli, z którego po kilkumiesięcznej niefortunnej kampanii wycofały się wojska angielsko-francuskie.



W niewoli rosyjskiej: Grupa jeńców-oficerów w Perowsku (Turkiestan)

Pokłosie wojenne w Galicyi.

Wśród licznych miejscowości w Galicyi, które w czasie walk zeszłorocznych zostały częściowo lub całkowicie zniszczone, najbardziej może ucierpiały Gorlice i najbliższa okolica tego miasteczka. Tutaj, w czasie inwazyi rosyjskiej, toczyły się przez czas długi zażarte walki, tutaj właśnie, w maju roku zeszłego wojska sprzymierzone przełamały front rosyjski i zmusiły Rosyan do odwrotu. Bitwa pod Gorlicami, jedna z najzaciętszych w obecnej wojnie,



Obrazki wojenne: Placówka austryacka na południowym terenie.

była pierwszym krokiem do złamania przewagi rosyjskiej i wyparcia nieprzyjaciela z Galicyi.

Walki te, które tak decydujące miały znaczenie w przebiegu obecnej wojny, musiały wywołać dookoła olbrzymie zniszczenie, którego ofiarą padły Gorlice i okoliczne wsie. Samo miasteczko dziś jeszcze przedstawia ruinę, którą nieprędko będzie można doprowadzić do pierwotnego stanu.

Liczne illustracye, jakie zamieściliśmy już z Gorlic, uzupełniamy w obecnym numerze kilku nowemi zdjęciami tak z samego miasta, jak i okolicy, gdzie dziś jeszcze roztacza się pełen grozy obraz minionych walk.



Szlakiem bojowym Legionów Warsztat szewski i krawiecki na froncie przy linii bojowej (Fot. Durek)



Szlakiem bojowym Legionów: Przemarsz przez rzekę. (Fot. Dep. Wojsk).

MICHAŁ MORPHY.

KRWAWE MILIONY.

Tłum. z francuskiego **MARYA SEGENY.**

28

Wyszli z komisaryatu, przecisnęli się z trudem wśród zebranego tłumu, komentującego jeszcze śmiałe te zbrodnie i wsiedli do automobilu.

— Ta młoda dziewczyna, o której pan wspominał — zaczął Allan — czy nie była jasną blondynką, lat może siedmnastu?

— Nie, brunetka, bardzo silna. Luiza Rieux. Jestem pewny, że się nie mylę. Jedyna córka dzielnego oficera, ale, to proszę zachowaj pan dla siebie. Dziewczyna nie zupełnie już uczciwa, ale jak, domyślam się, padła ofiarą jakiegoś nędznika. W każdym razie u pani Wiktoryi mogła tylko upaść niżej. W chwili aresztowania grała na fortepianie, przebrana za dyabła!

— To nie ta, o której myślę. — rzekł Allan — Jednak...

— Poczekaj pan! Może pan szuka tej blondynki, jej przyjaciółki? — przerwał urzędnik — Wiem już! wiem! Obydwie uparcie ukrywały swoje nazwiska, ale z nami takie dzieciństwa nie trwają długo. Tak, tak... Janina le Brenn... Poczekaj pan, mieszkała w dzielnicy Temple. To ta, nieprawdaż?

— To ta! — powtórzył głucho Allan, przejęty drżeniem nerwowem.

— Do dyabła! Kiedy ona uciekła mi także z pod nosa! Jest także jakiś młody człowiek, blondyn, w całej tej sprawie.

— Znam go.

— Oh! Przez niego dowiemy się, co się z nią stało.

— To niepotrzebne. Wiem już.

— W takim razie wie pan więcej od nas! — zaśmiał się urzędnik.

— Niestety, nie w każdym punkcie.

— Poinformuję więc pana w zamian za jego wiadomości. To znaczy, że pan powie mi, gdzie ta mała mieszka.

— To zależy.

— Jakto?

— Zależy od tego, do czego to panu potrzebne. Co się pan od niej chce dowiedzieć?

— Miejsca pobytu tej jej przyjaciółki, Luizy Rieux, którą ciągle jeszcze ojciec poszukuje. Ona była jej towarzyszką w czasie, kiedy pracowały jako hafciarki.

— Zdaje się, że nie będzie mogła pomódz panu w poszukiwaniach, bo znajduje się sama w małej wiosce, oddalonej od Paryża najmniej o mil stopięćdziesiąt.

— Ale może zechce się pan podjąć pośrednictwa?

— I owszem. Czy to pilne?

— Tak i nie. Ojciec od miesięcy oczekuje napróżno.

— Za dwa dni będzie pan wiedział!

— Czy być może! Gdyby pan mógł dać mi pewne wskazówki! Ot i widzi pan, panie Allan, staje się pan tajnym naszym detektywem. Już teraz nic przed panem ukryć nie mogę. Musi mi pan teraz powiedzieć, jakich objaśnień pan chce odemnie i na mocy czego?

— To jest bardzo logiczne. Janina le Brenn jest moją siostrzenicą. Pragnę jak najspieszniej poznać rolę, jaką odegrała u tej pani Wiktoryi.

— Rolę, którą jej odegrać kazano, chce pan powiedzieć, bo mam ją za niewinną. Jest tylko ten blondyn w jej życiu, który, zdaje się, był szczęśliwszym od pewnego doktora, którego znam.

— Doktora Magnusa de Villepre?

— Tak.

— Stał się już nieszkodliwym. Nałożono na niego kaftan bezpieczeństwa.

— Doktor Magnus zwaryował?

— Zupełnie i jest zamknięty w domu zdrowia!

— Mówi mi pan rzeczy nadzwyczajne, doprawdy! Sławny doktor Magnus de Villepre! Co prawda, nie żałuję go. Bylibyśmy wkrótce zmuszeni zamknąć go gdzieindziej!

Urzędnik potrząsnął głową ze zdumieniem i zapytał po chwili.

— A więc ta druga młoda dziewczyna, ta Janina le Brenn, to pana siostrzenica? Zapewne daleka, bo to prosta robotnica.

— Nie, przeciwnie, bardzo blizka, ale dotąd nie wiedziałem o tem.

— To dobrze. Dowie się pan o niej to wszystko, co sam wiem. Przedewszystkiem, nieznana mi była zupełnie aż do chwili osiedlenia się jej w dzielnicy Temple, niedaleko kanału.

— Była wtedy uczciwą dziewczyną, wiem o tem z pewnością.

— I zapewne pozostała taką, skoro machinacya tej starej nędznicy z ulicy św. Łazarza nie udała się. Tylko ten młody blondyn mnie niepokoi... Ale idźmy dalej. Wszystkie kobiety zaaresztowane równocześnie w pracowni pani Wiktoryi, orzekły, że nie znały jej przedtem. Została podstępnie zaciągnięta do tego domu. Wejście policyi uratowało ją, a może także przywiązanie i opieka Luizy Rieux.

— Tego dobrego dyabełka?

— Tak sądzę. Ale dojeżdżamy już. Zaraz każę panu przynieść akta do przejrzenia.

Pułkownik Rieux.

Allan le Brenn siedział w gabinecie szefa poszukiwań i przeglądał z zajęciem podane mu wielkie księgi, zawierające akta. Tajemne jego przekonanie i przeczucie stawały się już pewnością. W tej chwili wszedł woźny, oznajmiając przybycie pułkownika Rieux.

Allan podniósł głowę z nad papierów i spojrzał na urzędnika.

— Tak, to ojciec tej Luizy, która bierze udział w tej sprawie — odpowiedział pan Leroux na nieme to zapytanie. — Biedny człowiek! Cóż mu powiem znowu? Widok jego sprawia mi przykrość, której pan sobie wyobrazić nie może. Przychodzi tu zawsze smutny i spokorniały przez wstyd, jak winowajca, ukrywając swoje tytuły i krzyż legii honorowej.

Allan zamknął książki i pożegnał urzędnika.

— Powiedz mu pan, że może za dwa dni dowie się, czego pragnie.

— Może... — powtórzył pan Leroux. — Zawsze to słowo, odbierające nadzieję.

— Wolę powiedzieć w ten sposób, choć pewny jestem dobrego rezultatu — odparł Allan.

— Uczciwy z pana człowiek — rzekł urzędnik, odprowadzając gościa do drzwi.

W przedpokoju, służącym za poczekalnię, stał pułkownik Rieux z głową pochyloną, poważny i przybity. Allan, przyzwyczajony do swobodnego powitania amerykańskiego, głęboko pochylił się, przechodząc koło tego człowieka.

— Panie — rzekł pułkownik przyciszonym głosem, zwracając się do urzędnika — przychodzę tylko panu powiedzieć o zmianie mojego pobytu. Nic nowego, nieprawdaż?

— Jeszcze nie — odpowiedział pan Leroux — ale za dwa, trzy dni... mam nadzieję...

— Zaczekam. Następnie udam się tam, gdzie mnie przeniesiono, do południowej Oranii... ze względu na zdrowie.

— Ależ tam „grzeje" na wszelkie możliwe sposoby, panie pułkowniku.

— To mój fach — odpowiedział z prostotą. — Żegnam pana. Dziękuję panu gorąco za zainteresowanie się moją sprawą.

— Ach! pułkowniku! Gdyby nie to głupie wydarzenie wówczas...

— Wywiązał się pan dzielnie ze swojego obowiązku. Raz jeszcze panu dziękuję... po raz ostatni może...

Uścisnąwszy rękę urzędnika, pułkownik Rieux oddalił się szybko, jak gdyby chciał jak najprędzej z tego miejsca uciec, do którego sprowadził go wstyd i niepokój.

Powróćmy do Allana le Brenn. Część jego starań uwieńczona została już dobrym skutkiem. Pozostawało mu tylko jeszcze widzenie się z baronem de Bressien i Audrzejem Delrue. Allan więc nie stracił dnia na próżno. Zabierał się właśnie do zasłużonego odpoczynku kiedy mu doniesiono, że człowiek jakiś, skromnej postawy, pragnie z nim mówić koniecznie.

— Jak się nazywa?

— Jakób, posługacz.

— To jeden z moich przyjaciół, wpuścić go natychmiast.

Za chwilę stary Jakób niezgrabnie, z pewnem zmieszaniem na widok komfortu mieszkania, wszedł do gabinetu Allana. W ręce trzymał stary swój kaszkiet, obłożony żałobną krepą.

— Cóż mi powiecie, Jakóbie?

— Panie — odpowiedział stary drżącym głosem — wiem, że taki człowiek, jak pan, nie lubi nudnych podziękowań.

— Rzeczywiście. Przejdźmy do przykrzejszych rzeczy, jednakże bardziej interesujących i pożyteczniejszych także...

— Jednakże, panie Allan, ja nie mogę przyjąć...

— Jakże się miewa żona twoja, mój przyjacielu? — przerwał Allan natychmiast.

— Lepiej cokolwiek. Obecnie płacze nad naszą biedną Lizą. Teraz z nią straciliśmy już wszystko.

Zgrubiałą ręką przesunął po zwilgoconych oczach i westchnął ciężko. Następnie z tym instynktem, zrodzonym z obowiązku, tak głębokim i silnym u natur prostych i uczciwych, mówić zaczął:

— Panie Allan, wiem, że pan przychodził do nas po wiadomości o pannie Janinie le Brenn, zamieszkałej niegdyś w mojej dzielnicy, chciałbym więc...

— Tak, przychodziłem z polecenia markizy de Kermor.

— Naszej opiekunki dobroczynnej. Pan mi wybaczy, że przychodzę z tem w niewłaściwej może godzinie. Przeszkadzam panu, prawda? Ale, że komisarz z dzielnicy dostarczył mi adres pana mieszkania... myślałem, że przychodząc będę mógł się panu stać potrzebnym i wywdzięczyć w ten sposób za dobroć pana dla nas, biedaków.

— Zapewne, mój Jakóbie. Powiedz mi więc wszystko, co wiesz o niej.

Posługacz wyjaśnił Allanowi, jak poznał Janinę, jej prośbę, aby nikomu nie wydał jej nowego adresu i poszukiwania, czynione za nią przez wysokiego, przystojnego człowieka, należącego najwidoczniej do najlepszej sfery towarzystwa.

— To był syn markizy de Kermor — zauważył Allan.

— Tak jest, panie. Dowiedziałem się o tem później. Ale za żadną cenę nie byłbym mu powiedział, gdzie mieszka ta panienka. Prosiła mnie i ona o to i drugi młody człowiek, który zdawał się nią być silnie zajęty i raz nawet wsunął mi do ręki dwadzieścia franków.

— Och! to ten wiedział o jej adresie?

— Wiedział przezemnie.

— Blondyn, nizki?

— Ten sam.

— Niema wątpliwości — myślał Allan wysłuchawszy dalszego opowiadania starego Jakóba. — Delrue jest wspólnikiem tego łajdaka de Bressien, którego mam nadzieję poznać wkrótce i panny Sydonii, która, o ile mi się zdaje, nie nazwie się prędko hrabiną de Kermor. Wszystko to, co było uplanowane przeciw Janinie w domu pani Wiktoryi, było dziełem sprytu i przebiegłości Andrzeja Delrue. Ale jak dostać dowód tej machinacyi do ręki? Przeciw takiemu człowiekowi nie wystarczą moje dwie silne pięści, muszę wynaleźć coś innego.

Monologując w ten sposób w milczeniu, Allan patrzał na starego Jakóba, który w pełnej uszanowania postawie stał przed nim z pochyloną głową na piersiach. Niktby się w tym skromnym i niepozornym człowieku nie domyślił zwycięzcy strasznego, niezwalczonego apasza.

— Do dyabła! — szepnął nagle Allan, jak gdyby tknięty nową myślą — Mam przecież dzielnego i sprytnego posługacza pod ręką.

— Czy jesteś bardzo zmęczony, mój Jakóbie? — zapytał go życzliwie.

Posługacz wyprostował się szybko, niemile dotknięty temi słowami.

— To tak tylko pozornie się wydaje, mój panie. — rzekł żwawo — Ale proszę tylko poddać mnie jakiej próbie, a przekona się pan, że stare moje nogi i głowa jeszcze się przydać mogą. Nie mam wcale ochoty do spoczynku.

— To dobrze, mój stary. Zaraz obarczę cię robotą.

— Po to tylko przyszedłem do pana.

Allan podszedł do biurka, usiadł w fotelu i pisać zaczął na ćwiartce papieru, wyciągniętego z szuflady.

„Łaskawy Panie Dyrektorze!

Niniejszem obowiązuję się dostarczyć panu żądanych informacyi o pannie Luizie Rieux o dwanaście godzin wcześniej, niż to było przez nas dziś umówionem. W zamian, proszę pana o wystawienie mi natychmiast pozwolenia na widzenie się z panią Wiktoryą, internowaną w więzieniu św. Łazarza i z panem Collin-Megret, znajdującym się w więzieniu głównem. Jest mi koniecznie potrzebne, w związku z wiadomą panu sprawą. Oddany i wdzięczny

Allan le Brenn".

— Oto, musicie natychmiast doręczyć list ten do rąk adresata, mój Jakóbie! — rzekł Allan, wstając i podchodząc do posługacza — Idźcie stąd prosto do dyrekcyi policyi, może go jeszcze zastaniecie, w przeciwnym razie pójdziecie do jego mieszkania. Pozostawiam wam już troskę szybkiego odnalezienia go i przyniesienia mi odpowiedzi. Nie lękajcie się go zbudzić, jeżeli spać będzie. Sprawa jest ważna.

Była już druga godzina po północy, kiedy Jakób powrócił z żądaną odpowiedzią.

Brzmiała ona w następujący sposób:

„Łaskawy Panie!

Dołączam potrzebne panu pozwolenia, które pan zechce zalegalizować podpisem sędziego śledczego, którego równocześnie zawiadamiam telefonicznie o przybyciu Pana"...

— Postaram się go zbudzić jak najwcześniej. — pomyślał sobie Allan. — Sędzia nie powinien spać długo.

— Mój Jakóbie — zwrócił się do posługacza — oddaliście mi dobrą przysługę. Pozwólcie mi za to podziękować wam szczerem uściśnieniem ręki... Pozatem, bądźcie spokojni o waszą przyszłość. Pomówię o tem z panią de Kermor. Bądźcie dobrej myśli... Życie ma swoje złe i dobre strony. — Mówiąc to, Allan ujął serdecznie rękę starego i odprowadził go do drzwi, zapewniając go o swojej życzliwości i sympatyi.

I stary Jakób, pokrzepiony cokolwiek na duchu, powrócił do swojej dzielnicy, gdzie resztę nocy strawił na czuwaniu przy zwłokach córki, którą nazajutrz pochować miano na skromnym cmentarzu w Saint-Quen.

Specyalna rozmownica.

Tego samego rana Allan przywdział tradycyonalny swój popielaty garnitur i wyszedł spiesznie na ulicę.

Sędzia śledczy, którego zaskoczył jeszcze w łóżku, podpisał natychmiast przedstawione mu papiery i już o godzinie dziewiątej oczekiwał Allan w specyalnej rozmownicy więziennej na placu St. Denis.

Pani Wiktorya, zacna matrona z ulicy św. Łazarza, nie bardzo korzystnie wyglądała w tem nowem, niepożądanem otoczeniu. Życie więzienne nie służyło jej. Cerę miała żółtą, a twarz jej, rozlana i zmęczona, przybrała jakiś niemiły, odpychający wyraz. W oczach tylko, silnie podkrążonych, palił się ogień zaciętej złości i lęku.

Pani Wiktorya za dni kilka miała się stawić przed sądem przysięgłych i myśl ta, nieznośna, nie dawała jej spokoju. Spotkała ją przytem niedawno nieukojona przykrość: Panna Amelia, jej pierwsza podręczna i wspólniczka, która dotrzymywała jej dotąd towarzystwa, została na rozkaz policyi wysłana do miejsca urodzenia, bez pozwolenia powrotu do Paryża. Pani Collin Megret była więc sama w swojej celi więziennej. I to było dla niej straszne! Nie mieć nikogo przy sobie, przed którym mogłaby się pożalić, wygadać do woli i pokłócić.

Allana le Brenn przeszył dreszcz obrzydzenia, który natychmiast zamaskował grzecznym uśmiechem, kiedy ujrzał wchodzącą do rozmownicy wstrętną tę istotę o rozlanem ciele. Z głuchem westchnieniem usiadła ciężko na ławce, zaciekawiona, czego od niej chcieć znowu mogą.

— Proszę mówić cicho. — ostrzegł ją Allan — Nie jestem urzędnikiem policyjnym, choć mam znajomości w tej sferze. Przychodzę z polecenia Andrzeja Delrue.

— Andrzeja Delrue? — przestraszyła się pani Wiktorya — Nie znam takiego pana.

— Może pani sobie przypomni.

— Nie przypomnę, bo nie znam — upierała się.

Allan wzruszył ramionami i powolnym ruchem wyciągnął z kieszeni dobrze wypchany portfel. Pani Wiktorya patrzała zdziwiona. Ludzie z policyi nie postępują w ten sposób...

— Sprawy pani tylko ją osobiście obchodzić mogą — wyrzekł Allan spokojnie. — Chciałem tylko pani powiedzieć, że Delrue jest na wolności i jest bogatym. A pani, zdaje się, cierpi niewygody wszelakie tutaj i braki, nieprawdaż?

— A więc ten pan, który tu pana przysyła, jest bogaty, aż tak bogaty?

— Tak. Obecnie bardzo dobrze mu się powodzi. I pomyślał o pani... to całkiem naturalne...

— Zapewne.

— Ponieważ, jako adwokat, mam tu wejście wolne, więc podjąłem się tej misyi.

— Nie odmawiam. Ten pan, jakże to pan go nazwał?

— Delrne — powtórzył cierpliwie Allan. — Może pani mi zupełnie zaufać. Nie pytam przecież o nic panią.

— Dobrze. Ten pan Delrue, jak widzę, chce mi zwrócić pieniądze, które mi winien.

— Zdaje mi się, że dostatecznie to pani wyjaśniłem. Pospieszmy się. Minuty naszej rozmowy są policzone. Za konnica czeka, a dozorca z pewnością niedaleko się znajduje. Proszę! Niech pani weźmie szybko tęn banknot tysiącfrankowy i schowa go piesznięj jeszcze.

Pani Wiktorya, pomimo ostrzeżenia Allana, roześmiała się dosyć głośno.

— Tysiąc franków! Zdaje mi się, że pan sobie żartuje ze mnie. Dlaczego nie pięć? Och! ten pan Delrue nie jest bardzo wspaniałomyślnym, jak widzę! Zawsze ten sam sknera.

— Ach! To go sobie pani przypomniała przecież? Pamięć pani powraca? Zdaje się, że się porozumiemy wkońcu.

— To jest — jąkała się pani Wiktorya — że jest ktoś tego imienia, który mi winien więcej niż dziesięć tysięcy franków, a to już urosło do dwudziestu tysięcy z procentami. Nie wiem, czy mnie pan rozumie?

— Doskonale. Historya Janiny, Bretonki, która nieszczęśliwie się dla pani zakończyła. Ale cierpliwości trochę, moja pani, jeszcze nadejdą dobre dni.

— Kiedy, mój Boże! Te tysiąc franków pana, co to jest? Nędza, nic więcej!

— Nie moje, tylko Andrzeja Delrue. Myślał, że nieostrożnie byłoby dawać pani tutaj, w więzieniu. Mogą panią zrewidować, zakwestyonować te pieniądze.

— Powiedz pan lepiej, że boi się, aby nie został wykrytym i zaaresztowanym i że chciałby załagodzić swój dług tym drobiazgiem.

— Przepraszam panią, jestem adwokatem i muszę stanąć w jego obronie. O co to nas mają oskarżyć i za co zaaresztować?

— O co? Wiem z pewnością, że wszystko na nas zrzuci, a sam się oczyści. A przecież to była jego myśl, nie moja, oskarżyć tę dziewczynę i przedstawić ją w oczach tamtego za najgorszą. Czy to on, czy ja urządziłam tę nocną scenkę, na którą się ten głupiec złapał i uwierzył?

— Niech mi pani na to da dowody. Czy to pani przyciągnęła do siebie Janinę pod pozorem pracy, czy on?

Pani Wiktorya, sama nie wiedząc kiedy, wpadła w zastawione na nią przez Allana sidła i mówiła dalej gorączkowo, pod wpływem nienawiści do swojego wspólnika.

— To była przysługa, uczyniona temu pana przyjacielowi. Do dyabła! Umiał się zręcznie urządzić ten gagatek! Wszystkich wyprowadził w pole. I markiz i baron wpadli, a on w każdym razie jest w posiadaniu swojego sfałszowanego kwitu.

— Sfałszowanego kwitu? Przepraszam panią — zaprotestował Allan — temu muszę zaprzeczyć.

— Dobrze, dobrze — syknęła wymijająco pani Wiktorya. — Występuj pan dalej w roli słomianego adwokata. Wiem, co mówię. Delrue także. Zapytaj się go pan, kiedy go zobaczysz.

— Och! On teraz jest tak daleko... w podróży. Więc pani odrzuca ten ładny banknocik... szkoda, to tylko początek, zaliczka.

Pani Wiktorya pochwyciła skwapliwie banknot i schowała go za stanik, mrucząc gniewnie:

— Nie powiedziałam, że nie biorę, ale nie jako zaliczka na ten dług! To się nie liczy, mój panie. To zaledwie wyniesie zaległości za procent i jaki nędzny jeszcze! Czy pan nie wie, że jesteśmy teraz zrujnowani do ostatniego centa?

— Ej! nie wierzę. Musi pani mieć dobrze schowaną okrągłą sumkę gdzieś na boku. Nie lękam się o los pani, kiedy uwolnią panią stąd.

Pani Wiktorya zbyła te słowa ostrożnem milczeniem.

Ten przyjaciel Andrzeja Delrue, działał jej na nerwy. Banknot, otrzymany od niego, utwierdził ją w przekonaniu, że nie może być tajnym agentem i konfidentem policyi.

Allan spostrzegł, że nie pociągnie ją do szerszych zwierzeń, a pilno mu było odwiedzić pana Collin-Megret w jego celi.

— Czy pani nie ma jakiego polecenia dla naszego przyjaciela Andrzeja Delrue — zapytał podstępnie.

— Dla niego! Jeszcze by też! Niech się strzeże, jeżeli nie zechce do końca z nami uczciwie postępować! Jeszcze się odnajdziemy! Świat szeroki! Ah! kanaliu! Ładnie nas urządził, niema co mówić!

— Niech się pani nie denerwuje — ostrzegł, śmiejąc się Allan. — Wywiązałem się z danego mi polecenia, a teraz muszę panią niestety pożegnać. Jesteśmy skwitowani, jak sądzę!

— Skwitowani?! — oburzyła się pani Wiktorya. Zobaczymy! Żądam dwadzieścia tysięcy za odszkodowanie i odbiorę je, bądź pan pewny! Ja znam dosyć pomysłów tego pana Delrue i jego samego do tego.

— A myśli pani, że i ja nie mam nieprzyjemności? No, powodzenia, a korzystaj pani ze sposobności i wypocznij należycie! Żegnam.

Allan pełny niesmaku i wstrętu oddalił się spiesznie, pozostawiając zacną matronę, mruczącą za nim z wściekłością:

— Ten podły Delrue! Posyła mi tego idyotę, by mi rzucić jałmużnę i naigrawać się z mojej niedoli. Poczekaj, ptaszku! Jeżeli ty myślisz, że nie potrafię się zemścić na tobie za to, że tu siedzieć muszę...

Allan wsiadł do automobilu i rzucił szoferowi:

— Do głównego więzienia i spiesznie, bo nie lubię, kiedy moi najlepsi przyjaciele oczekują mnie z niecierpliwością.

Mając przed oczami akta kryminalne pani Wiktoryi i pana Collin Megret, Allan dowiedział się, że ten ostatni był eks-notaryuszem i zbankrutowanym kupcem, niejakim Locquerelem, mającym wiele nieczystych spraw na sumieniu. Pomimo to jednak przeczuwał trudność porozumienia się z nim.

Pan Collin-Megret odpornym musiał być należycie i dobrze poinformowanym o wszystkiem... Przytem we własnym interesie mógł oszczędzać wspólnika, który mógł się stać jedyną deską zbawienia, w razie, gdyby go wypuszczono z więzienia. Istoty tego rodzaju nie szkodzą sobie wzajemnie.

Pani Wiktorya za wiele powiedziała, ale uniósł ją gadatliwy temperament kobiety i żal za niepowrotnemi stratami pieniężnemi. Co zaś do pana Collin-Megret gra będzie trudniejsza. Stary lichwiarz będzie się miał na ostrożności, przebiegły i wyrachowany.

W korytarzu więziennym rozległo się echo monotonnego głosu:

— Numer 257 do specyalnej rozmownicy. Natychmiast go doprowadzić!

Szmer ciężkich kroków, zgrzyt klucza w zamku w wyższej galeryi i po chwili niskiego wzrostu człowiek wychodzi z celi i spiesznie zbiega ze schodów.

Dozorca pochyla się przez poręcz i woła do stojącego na dole.

— Numer 257. Proszę odebrać!

Pan Collin Megret, poważny wydawca „Przewodnika światowego", zostaje wepchnięty do niewielkiej okratowanej klatki, gdzie po tamtej stronie krat oczekuje już na niego Allan.

— Kogo mam przyjemność widzieć? — zapytuje z powagą pan Collin Megret, starając się poprzez gęste kraty rozpoznać rysy gościa.

— Doktor Allan — brzmi odpowiedź,

— Z kancelaryi adwokackiej z Paryża? — Pyta z niewiarą stary lichwiarz.

Allan skłonił się w milczeniu.

— Wybrałem już obrońcę — zauważył Collin-Megret.

— Wiem o tem. To też nie przychodzę ubiegać się o zaszczyt bronienia pana. Tytuł adwokata dozwolił mi dostać się do pana. Jeżeli przemawiać będę za kimś w tej sprawie, to tylko za panem Andrzejem Delrue, klientem moim.

— Ah! Pan Delrue jest pana klientem?

— Prawie przyjacielem.

— Bardzo mi przyjemnie. Był urzędnikiem moim.

— I jakby to powiedzieć... dostawcą w pewnej kombinacyi nieudanej?

— Mówi pan językiem niezrozumiałym dla mnie, niestety.

— Doprawdy? — Wyrażę się więc jaśniej.

— Proszę pana. Głowę mam dosyć słabą.

— Sądziłem przeciwnie.

— To zależy.

— Mój klient winien jest panu, jakoteż pani Wiktoryi, byłej modystce, sumę dziesięciu tysięcy franków za utrzymanie Janiny le Brenn — i resztę. Czy zaczyna pan rozumieć?

— Słyszę pana w każdym razie. Zechciej pan mówić dalej. Mówi pan złotemi słowami, co jest rzeczą tak cenną, jak i milczenie. Tak przynajmniej mówią... ja nie twierdzę.

— Ja zaś twierdzę, co następuje, że pan Delrue gotów jest do wypłacenia tej sumy.

— To bardzo uczciwy człowiek.

— Tak czynią ludzie, którzy znają także cenę milczenia i oceniają ją należycie.

— To się zazwyczaj płaci osobno. Nie trzeba mieszać faktów, bo inaczej zgubić się w nich można. Pan mówi, że pan Andrzej Delrue winien mi jest dziesięć tysięcy franków. Sądzę, że ma je pan w swojem posiadaniu, chociaż miejsce nie jest bardzo stosowne do odbioru pieniędzy.

Allan otworzył niewyczerpany swój portfel.

— Widzę, że ma pan o wiele więcej — zauważył pan Collin-Megret z nagłym błyskiem w oczach.

— Ale może nie będzie tego za wiele dla mnie. On mi jest tyle winien!

(Dalszy ciąg nastąpi).



Pokłosie wojenne w Galicyi: Zburzone pociskami rosyjskie rowy strzeleckie pod Gorlicami. (Fot. T. Chmura).



Pokłosie wojenne w Galicyi: Rosyjskie rowy strzeleckie na Postroniu pod Gorlicami.

Kronika tygodniowa.

Do licznych kronikarskich kłopotów, jakie mnie stale prześladują, przybył nowy. Od jakiegoś czasu otrzymuję stale, prawie codziennie, listy miłosne, niestety anonimy, w których różne niewiasty wyrażają mi swe afekty, proszą o randki, o kosmyk włosów z mej łysiny na pamiątkę i t. d. Na każdy z osobna nie mogę odpowiedzieć, wszystkim Autorkom zasyłam natomiast na tej drodze serdeczne podziękowanie za dowody uznania i zapewniam, że wszystkie owe listy w specyalnej torbie noszę na sercu, a gdy ich się zbierze więcej, zapalę nimi w piecu i będę się grzał przy tem cieple.

Onegdaj otrzymałem znowu list z Krakowa następującej treści:

„Łaskawy Panie!

Do tej chwili byłam przekonana, żeś Ty, o Panie, związany węzłami małżeńskimi. Lecz jakąż radością zadrgało moje serce, gdym się dowiedziała, żeś wolny i do wzięcia, to też postanawiam zdobyć Cię moją miłością (chyba na wdzięki niewieście opornym nie będziesz?). Więc proszę Cię, w celu zapoznania się z Tobą wyznacz mi rendez vous, a gdzie, odpisz w kronice „Nowości illustrowanych".

Twoja Cię prześladująca po wieczne czasy
Donica (z makiem)."

Czyniąc zadość życzeniu Szanownej Autorki, która dodaje w dopisku, „że daje słowo, iż jest ładną", muszę odpowiedzieć, iż, aczkolwiek z bólem serca, randki, przynajmniej na razie, nie mogę wyznaczyć, ponieważ na to Weronisia nie pozwala, a ja przyzwyczaiłem się już do tego, by być jej rozkazom posłusznym. Później kiedyś, gdy podobnych ofert nazbiera się więcej, wszystkim Paniom razem wyznaczę czas i miejsce spotkania i myślę, że się nie spóźnię. Gdybym przecież nie miał czasu, wysłać mogę za siebie w zastępstwie Weronisię, ale nie radziłbym Paniom, by weszły z nią w bliższą znajomość, zapowiedziała bowiem, że za żadną cenę nie odstąpi mnie nikomu, nawet powyżej taryfy maksymalnej, gdyż jestem jej własnością, którą ona z nikim nie myśli się dzielić.

To jedno jest dobre, że listy owe miłosne nadchodzą do Redakcyi, nie do domu, gdyby bowiem który wpadł w ręce mej kochanej połowicy, miałbym za swoje, choć jestem niewinny, niczem nowonarodzone dziecko. A jest ona i zazdrosna i popędliwa, jak zapewne wiedzą już Szanowni Czytelnicy.

Zlitujcie się więc nademną łaskawe Panie i dajcie mi spokój, jeżeli nie chcecie, bym wlazł w kabałę, zwłaszcza, że obecnie pracuję nad bardzo ważną kwestyą, mianowicie nad problemem wypierania nas na każdym punkcie z zajmowanych stanowisk przez rodzaj żeński.

Mamy już panie konduktorki i motorowe przy tramwajach, gdzieś tam zajęły już wyższe stanowiska, gdyż wpakowały się aż na kozioł dryndy fijakierskiej i kto wie, czy nie pokuszą się i o najwyższe stanowisko w Krakowie, a jest niem, jak wiadomo, posada trębacza na wieży Maryackiej. — Wyobrażam sobie, jaka radość ogarnęłaby ową wybraną niewiastę z chwilą, gdy będzie mogła patrzyć z góry na cały świat.

Kwestya tylko, czy wytrzyma długo, nie mając się do kogo odezwać?... Jeśliby zaś znalazły się tam dwie lub więcej, zaczęłyby z pewnością zaraz pogwarkę i *eo ipso* nie mogłyby baczyć, co się dzieje w mieście.

Moja Weronisia ma płuca, jak miechy, mogłaby więc trąbić bez szkody dla swego zdrowia. Muszę ją zaprotegować na to stanowisko, a wyjdę na tem najlepiej sam, gdyż będę miał w domu spokój, o co dziś bardzo trudno.

W ubiegłym tygodniu, w dniu 14. stycznia, przypadały jej imieniny. Ogromnie była poirytowana, że zbyt mało otrzymała gratulacyi od znajomych i nieznajomych, a jeszcze mniej prezentów. Ja ofiarowałem jej srebrne sitko do herbaty na dwanaście osób i popełniłem na jej cześć tak cudowny poemat, że o mały figiel się nie rozpłakała. Powtórzyłbym go tutaj, nie chcę jednak rozstrajać czy nastrajać Szanownych Czytelników, gdyż wiem, że poezya nie każdemu dobrze robi.

Pozatem zastanawiałem się nad tem, w jaki sposób zaradzić brakowi szelek, podwiązek i innych interesów gumowych, których wkrótce już ma zupełnie zabraknąć. Podwiązki, to jeszcze fraszka, gorzej będzie obchodzić się bez szelek, niewymowne mogą wówczas całkiem spokojnie ogłosić upadłość, a to chyba nie będzie dla nikogo przyjemnem.

Dzień siedmnastego stycznia zapisał się czarnemi głoskami w życiu każdego z nas, którzy część swojego życia przepędzamy w knajpce. Nie dosyć, że wódka już zdrożała, a konsumcyę piwa ograniczono, w dniu tym feralnym weszła w życie nowa podwyżka cen piwa o ośm prawie koron na hektolitrze... Wojna daje się nam coraz bardziej we znaki. Jak tu politykować, gdy piwa brak, o suchem gardle nikt chyba nie będzie gadał, ani radził.

Wyobrażam sobie, jaki byłby ze mnie wspaniały żołnierz. Sądzę, że nadawałbym się specyalnie do obsługi grubej Berty.

Ale znowu w tem sęk, że na to nie pozwoli czcigodna połowica, która oświadczyła, że chce mieć całego męża, a nie postrzelanego, wiadomo zaś, że na wojnie kule nie przebierają, więc mogłoby się zdarzyć, że pocisk armatni urwałby człowiekowi głowę, rękę, nogę lub jaką inną część ciała.

Wojna w otwartem polu nie musi przecież być tak nieprzyjemną i nie daje się chyba tak we znaki, jak wojna domowa. Wnoszę to z wiadomości, nadchodzących z Londynu, gdzie daleko więcej zgłosiło się do wojska ochotników żonatych, niż kawalerów. Chcą tam widocznie znaleźć spokój, którego nie mają w domu.

Swoją drogą nie miałbym nic przeciw temu, aby się wojna już raz skończyła i muszę o tem pomówić z prezydentem Wilsonem, skoro tylko powróci z podróży poślubnej i skończy miodowy miesiąc, wiem bowiem, że ludzie nie lubią, gdy im się wtedy przeszkadza.

Zasięgałem już w tej kwestyi zdania króla Mikołaja czarnogórskiego i Piotra serbskiego, obaj odpisali mi, że wojny mają już dość i bardzo byliby zadowoleni, gdyby udało się zawrzeć pokój i powrócić na tron, na którym w każdym razie jest wygodniej siedzieć, niż na zwykłym stołku. Ale oni muszą sobie sami przypisać winę. Radziłem im, by dali spokój i nie pchali nosa między drzwi, niestety, nie chcieli mnie słuchać, dlatego wyszli na tem, niczem Zabłocki na mydle. Obaj zmykali tak chyżo, że omal nie pogubili hajdawerów, a trzeba przyznać, że mają więcej charakteru w nogach, niż w sercu. Jeśli nie będzie im danem powrócić na tron przodków, będą mogli kiedyś produkować się jako szybkobiegacze i niezły na tem zrobią interes.

Także i miliarder amerykański, Ford, za bytności swej w Krakowie konferował ze mną na temat rychłego ukończenia wojny, prosząc bym propagował dalej jego pokojowe idee. Czynię to niniejszem, by go zadowolić, zwłaszcza, że obiecał mi ze swej fabryki nadesłać w prezencie wspaniały automobil, gdyż nie wypada, aby kronikarz tak poczytnego pisma, jakiem są „Nowości Illustrowane", chodził piechotą.

Gdy się to stanie, to jest gdy automobil nadejdzie, wybiorę się w nim na ową randkę, na którą mnie pani „Donica" raczyła najłaskawiej zaprosić. Na razie chodzę piechotą i do tego w dziurawych butach, tłumacząc sobie, że to zdrowo.

Łazi mi także po głowie...(proszę się nie drapać!...) myśl, czyby nie zabrać się do opracowania „Historyi miasta Krakowa", za co można otrzymać nagrodę sześć tysięcy koron, albo bodaj trzy. Gdybym wiedział, że znajdę jakiego możnego protektora, to znaczy, że otrzymam ową obiecaną nagrodę, uczyniłbym to, zwłaszcza, że mam dość nazbieranego materyału. Ale pisać, a potem mieć z tego figę, na to się nie mogę zgodzić. Jeśliby chciał kto wejść ze mną w spółkę, jestem gotów go przyjąć. Onby mógł pisać, potem podzielilibyśmy się po bratersku nagrodą. Jabym mu tam w pracy nie przeszkadzał, dostarczyłbym mu papieru i atramentu, mógłbym mu nawet poddać niejedną piękną myśl.

Jeśliby kto na to reflektował, raczy się zgłosić, o ile możności jak najrychlej.

Opisując w ostatnim numerze moje kłopoty i zmartwienia w noc Sylwestrową i dzień Nowego Roku, zapomniałem wspomnieć o tem, jacy to ludzie u nas są jeszcze naiwni. Obok stolika, przy którym wówczas zająłem miejsce w kawiarni, siedziało dwu młodych paniczów, o rysach nieco wschodnich. Nowy Rok postanowili powitać naturalnie szampanem, między nimi a kelnerem wywiązała się na ten temat następująca rozmowa:

— Hej! Kelner!...

— Służę panom...

— Szampana, ale francuskiego! Niech kosztuje, co chce!

— Służę jaśnie panom!

Po chwili zjawia się kubeł z lodem, z którego wygląda ciekawie główka flaszki. Kelner z należytem nabożeństwem zabiera się do operacyi otwierania.

— Kelner! Jeśli pan tak otworzy, że korek strzeli aż tam, do góry, masz pan u mnie koronę... Niech ludzie wiedzą, że nas stać na szampana! — powiada jeden z owej pozłacanej młodzieży.

Spaliło jednak na panewce, szampan bzyknął tylko, ale nie strzelił, korona została w kieszeni młodego człowieka, zamiast przenieść się z niej do kelnerskiej.

Mój Boże — pomyślałem sobie — nie szkoda to pieniędzy? Ale trudno, ludzie niektórzy mają ich tyle, że nie wiedzą, co z nimi robić. Czy również dobrze nie można się zabawić n. p. przy szklance piwa lub herbaty?... Taki jednak młodzieniaszek myśli sobie, że szampanem zaimponuje światu... To najgorsze, że owo imponowanie odbywa się często za pieniądze pożyczane, lub nabyte może i w sposób niezupełnie uczciwy... Tam strzela szampan, tu pęka potem bomba: robi się klapa!... Ludziska zaś zazdroszczą nieraz, widząc takiego rozbawionego lowelasa i powiadają sobie na ucho:

— Ten sobie dopiero używa!...

Z kolei rzeczy powinienbym zająć się w kronice ustanowieniem nowych posad magistrackich. Są to tak zwani panowie inspektorowie, którzy mają obowiązek wglądania we wszystkie sprawy gminne. Jest ich aż trzech, brunet, szatyn i blondyn, według barwy włosów przydzielono im też poszczególnych urzędników celem dozorowania ich pracy.

Czy będzie z tego jakowyś pożytek, dziś o tem mówić jeszcze nie można, w każdym razie muszę stwierdzić, że jak dotąd nie umarł jeszcze ani jeden autonomiczny urzędnik z przepracowania, tak też będzie i nadal. Wiadomo, że pędzi się tam życie „sielskie, anielskie", a pewien znany humorysta nazwał tych panów „pracowitymi próżniakami" i podobno się nie pomylił.

Chciałem także zawadzić i o karty chlebowe, zwłaszcza, że w ubiegłym tygodniu groził nam ich brak, gdyż gdzieś zabłądziły po drodze i nie mogły trafić do Krakowa, niestety, nie czynię tego, a to z powodu owej niespodzianki, jaką nam urządził król Mikołaj z Czarnogóry, prosząc o pokój. Znam go o tyle, iż wiem, że jest to chłop, mający łeb na karku, widocznie więc uważał dalszy opór za niewskazany i dlatego zdał się na łaskę i niełaskę zwycięzcy, sądząc, że w ten sposób wytarguje dla siebie i kraju jakieś znośniejsze warunki.

Ale co na to powiedzą jego zięciowie?

Oby to był początek ogólnych rokowań pokojowych i zakończenia wojny. Gdyby się tak rzeczywiście stało, obiecuję na rok przyszły wystarać się dla króla jegomości o nagrodę pokojową z fundacyi Nobla, gdyż on był tym, który zrobił pierwszy krok. A chyba nie będzie miał nic przeciw temu, gdyż on jest, był i będzie zawsze w kłopotach pieniężnych, a teraz, to i zięciowie nie poratują.

Cieszyliśmy się więc nadzieją rychłego pokoju i ja sam wypiłem zdrowie króla Nykity bombą lichego pilznera za czterdzieści sześć halerzy.

Pozatem zaprzątnęły mi głowę żipkilotki, wracające z powrotem na widownię publiczną i to drogą urzędową. Przystroiły się w nie berlińskie konduktorki tramwajowe, aby w ten sposób uchronić się od wypadku podczas urzędowania. Sądzę, że i krakowski tramwaj pójdzie śladem berlińskiego kolegi, zwłaszcza, że według oświadczenia rzeczoznawców, którzy oglądali je na swoje własne oczy, wyglądają bardzo szykownie, a „gdy konduktorka stoi zupełnie spokojnie, nie można nawet poznać, że jest w innej, niż zwykle, spódniczce". Zresztą i polityka wchodzi tu w grę, „całość bowiem mile przymomina piękne Turczynki, których bracia walczą wspólnie z nami za wielką sprawę".

Na zakończenie zostawiłem wreszcie pretendentkę do tronu polskiego, jakąś panią Betty Nansen, która ma podobno pochodzić w zupełnie prostej linii od jakiegoś tam króla polskiego, zwiącego się Władysław i to aż szósty!

Ale to stać się może dopiero po zakończeniu wojny.

Czekajmy więc cierpliwie!

Zagadki do nagrody.

Grzebieniówka.
Ułożył M Frankiewicz, Kraków.

Kwadraty i kreski zastąpić odpowiedniemi literami, aby w pionowych szeregach powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd poziomy utworzy nazwę sekty religijnej.

```
□ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □
—   —   —   —   —   —
—   —   —   —   —   —
—   —   —   —   —   —
—   —   —   —   —   —
```

Znaczenie wyrazów: 1. Miejscowość w Azyi, pamiętna wielką bitwą. 2. Inaczej dzierżawa. 3 Roślina lekarska. 4. Wyraz cen. 5. Zwierzę ssące. 6. Rzeka na Syberyi.

Szarada.
Ułożył R. Belka. Kraków.

Wprost i wspak pierwsze
Przysmakiem będzie,
U kupców *drugie*
Z trzeciem jest wszędzie,
Wszystko, przyznacie
Sami z ochotą,
Jeśli jest dobre,
Wielką jest cnotą.

Trójkąt magiczny.
Ułożył W. B., Kraków.

W miejsce kwadratów i kresek wstawić odpowiednie litery, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu Pierwszy rząd, pionowy i poziomy, utworzy nazwisko słynnego niemieckiego muzyka.

```
□ □ □ □ □ □ □ □
□ — — — — — —
□ — — — — —
□ — — — —
□ — — —
□ — —
□ —
□
```

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz 2. Miasto na Śląsku austr. 3. Imię żeńskie 4. Część lampy. 5. Część ubrania. 6. Miasto w Niemczech 7 Bóg egipski 8. Spółgłoska.

Zadanie do przestawienia.
Ułożył H. M., Kraków.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

O! Drop gości dym! Rząd gada do koszar.

Kwadrat magiczny.
Ułożył W. B., Kraków.

Podane litery w ten sposób uporządkować, aby powstały wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

```
a a e e e
e g g i i
k k k m o
o p r r r
r t t w y
```

Znaczenie wyrazów: 1 Zatyczka. 2. Litera grecka. 3. Część lasu. 4 Kraj w Afryce. 5. Zabawa.

Przysłowiówka.
Ułożył R. Królicki, Krościenko n. D.

Z każdego przysłowia wyjąć, idąc trzy razy z góry na dół, po jednej literze i ułożyć z nich nowe przysłowie.

1 W nocy wszystkie koty szare
2. Pozory często mylą
3 Chwała z własnych ust śmierdzi
4. Młodość, płochość.
5. O wilku mowa, a wilk tu.
6. Na złodzieju czapka gore.
7 Prochu nie wymyślił.
8 Jak pięść do nosa.
9. Kto milczy, ten przyzwala.
10. Wodę mierzyć, woda będzie.

Zadanie do przestawienia.
Ułożył H. M., Kraków.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Kat Tatar Jacek je kumys i kiwa rajerem.

Okienko.
Ułożył W B., Kraków.

Litery tak poprzestawiać, aby utworzyły trzy wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

```
a a a a e e h
h     i     i
i     i     k
k k l l l l q
q     s     s
s     s     s
s t t u u z z
```

Znaczenie wyrazów: 1. Minister angielski 2. Bohater grecki. 3. Imię żeńskie

Zadanie do przestawienia.
Ułożył H M., Kraków.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Oby piła rznęła mozaiki, walce i mace.

Zadanie do przestawienia.
Ułożył H. M., Kraków.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Szanowna pani! Dzieci! Leżę na sieci.

Bilety wizytowe.
Ułożył R. Królicki, Krościenko n. D.

Z liter na biletach ułożyć godność, względnie zawód poszczególnych osób.

AD SAS CERRACKI

G. SANTORIA

TYTUS E. TRENUNDOWIEC.

A. N. DĄCZUNELSKI

ROMAN ALFONS GRYZIPEY.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania: **Polska pieśń wojenna.** Antologia poezyi polskiej z roku wielkiej wojny.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 2.

Logogryf:

```
M a l t o z a
A e r o l i t
R y b i t w a
C z o s n e k
I n t r a t a
N i c e f o r
P l a t y n a
O t t y l i a
C h i n i n a
Z u z a n n a
O l i m p i a
B e n z y n a
U r s z u l a
T u r z y c a
O r d y n a t
D y a m e n t
O t c h ł a ń
L a z a r e t
A m e t y s t
N o r b e r t
I z a j a s z
C z a m a r a
K r e m l i n
I n f u ł a t
```

Szarada: Nowy Rok.

Trójkąt magiczny:

```
H a m m u r a b i
A n t y g o n a
M a r y a s z
M o r e l a
U p i ó r
R a f a
A g a
B o
I
```

Zagadka: Dama, fama, gama, jama, lama, mama, rama, tama, Zima, Kama.

Zadanie do przestawienia: Nie powiesili jeszcze barana za Jana.

Przysłowiówka: Nie jednemu psu na imię Burek.

Szarada: Jesień.

Bilety wizytowe: Złotnik. Redaktor. Szef sekcyi. Okulista. Instruktor.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp.: F. Horak Oświęcim, W. Rachwalski Bochnia, K. Ciesielski Poznań, S. Gołński Nowy Sącz, J. Rogalski Radłów, S. Krzyżanowski Podgórze, H. Radziński Sucha, J. Broda Kraków, M. Planecka Kraków, F. Gebhardt Kraków, J. Niemojewski Zakopane, S. Karczmarski Poddębie, M. Klappholz Praga, J. Strojek Podgórze, W. Bogusz Zabierzów, A. Gross Kraków, J. Szewioł Prądnik, S. Ramza Wieliczka, M. Bański Liszki. J. Jakubowska Kraków, J. Wilczkiewicz Wiedeń, D. Sedyńska Zakopane, J Kopczyńska Bierzanów, R. Knapik Kraków, W. Swirski Zakopane, Z. Rogozińska Kraków, S. Medyński Zakopane, J. Krawecki Bochnia, Cz. Lipiński Zakopane, M. Domagalska Kraków, J. Łopatkiewicz Wiedeń, Jan Górka Kraków, J. Ciszewski Peszt, W. Błoński Kraków, J Buczyński Kraków, J. Jahoda Cieszyn, M. Sperling Wiedeń, W. Kadulska Kraków, W. Krzywicki Praga K. Reichenberg Cieszyn, W. Potocka Kraków, S. Kalinowska Podłęże, T. Nikiel Chrzanów, A. Bandrowski Zakopane, K. Leszczyński Wiedeń, E. Laskowski Jordanów, T. Rzepecki Poznań, S Kamocki Wiedeń, H. Ungar Wiedeń, R. Sadowski Kraków, J. Czarkowski Poznań, J. Gramski Wadowice, S. Sokołowski Kraków, K. Błachowski Kraków, K. Zegartowska Bogucice, H. Obst Praga, I. Brzostowski Chrzanów, R. Królicki Krościenko n D., M Zielińska Przemyśl, H. Rosenbaum Lwów, M. Birkenmajer Kraków, W M Birkenmajer Kraków, O. Kerner Kraków, T. Jarosz Kraków, S Serafin Kraków.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **J. Breda, Kraków.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Głosy publiczne.

Związek Eleuteryo, Towarzystwo zupełnej wstrzemięźliwości od napojów alkoholowych w Krakowie urządza cykl wykładów publicznych na temat „Kwestya alkoholizmu i nikotynizmu" w sali Rady powiatowej, Pijarska 1 (obok plant) w następującym porządku:

1 W niedzielę dnia 16 stycznia 1916 o godz 6 wieczorem: a) Słowo wstępne Prezesa „Eleuteryi", b) *Prof Uniw Jagiell Odo Bujwid:* „Istota alkoholizmu i wpływ alkoholu na powstawanie chorób podczas wojny"

2 We wtorek dnia 18 stycznia o godz 6 wieczorem: *p. Karol Kornicki:* „Alkohol a wojna".

3 We środę dnia 19. stycznia o godz 6 wieczorem: *Dyr. Paulina Spławińska:* „Wpływ alkoholizmu na wychowanie".

4 We czwartek dnia 20 stycznia o godz. 6 wieczorem: *Prof. dr Kazimierz Lubecki:* „Elementa społeczno-gospodarcze alkoholizmu i nikotynizmu".

5. W sobotę dnia 22. stycznia o godz. 6 wieczorem: *Prm dr. Józef Bogdanik:* „Alkohol w tradycyi i pieśni" (jego używanie i nadużywanie).

6 W niedzielę dnia 23 stycznia o godz 6 wieczorem: *Dr Antoni Doerman:* „Alkoholizm i abstynencya w Anglii" (wrażenia z podróży)

7. We wtorek dnia 25. stycznia o godzinie 6 wieczorem: *Prof. Emil Wyrobek:* (I. wykład) „O ile tocząca się wojna wpływa na wzrost alkoholizmu i chorób wenerycznych, zwiększając grozę następstw tych wrogów ludzkości?" (Dla młodzieży szkolnej wstęp wzbroniony).

8 We środę dnia 26. stycznia o godz. 6 wieczorem: *Ks. Mieczysław Kuznowicz:* „Sposoby zwalczania alkoholizmu i nikotynizmu wśród młodzieży".

9 We czwartek dnia 27. stycznia o godz 6 wieczorem: *Prof Emil Wyrobek:* (II. Wykład) „O ile tocząca się wojna wpływa na wzrost alkoholizmu i chorób wenerycznych, zwiększając grozę następstw tych wrogów ludzkości?" (Dla młodzieży szkolnej wstęp wzbroniony).

10 W sobotę dnia 29. stycznia o godz 6 wieczorem: *Doc. hyg. dr Helena Sikorska:* „Kobieta a alkoholizm".

11 W niedzielę dnia 30. stycznia o godz. 4 po południu uroczyste zebranie z następującym programem: a) Chór, b) *dr Kaz. Lubecki:* „Wieszczowie przeciw alkoholizmowi", c) Chór, d) Zakończenie.

Ceny miejsc: Pierwsze trzy rzędy krzeseł 1 kor., dalsze po 20 hal. Na cały cykl 5 kor., dalsze krzesła 1 kor 50 hal. Bilety wcześniej do nabycia w księgarni K. Wojnara przy ul. Szewskiej 20, przed wykładem przy kasie u wejścia na salę.

Uwaga: Po każdym wykładzie dyskusya Po ukończeniu kursu — uczestnicy, którzy się wykażą frekwencyą, mogą zdawać kollokwia (egzamina prywatne) 1. ewent. 2 lutego.

Kącik humorystyczny.

W krakowskim handlu.

— Ależ panie! Takie obrzydliwe piwo! Jak można gościom podawać coś podobnego!

— Pan dobrodziej się myli, piwo jest doskonałe!

— No! Chyba ja się znam na piwie! Ot będzie może najwyżej dwa tygodnie, jak piłem u pana bardzo dobre piwo...

— A widzi pan dobrodziej! Toż przecież ta sama beczka jeszcze!...

Potrzebny uczeń do drukarni i kliszarni Nowości Illustrowanych.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor.: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.